ROZMAITOŚCI.

Dnia 12. Marca. № 11. Roku 1856.

FATALISTA.
(OBRAZEK.)

Warum sollen denn immer den glatten Strom unsers Lebens entweder Schmerzen oder Sünden brechen.

(Jean — Paul.)

I.

Posępny był wieczór styczniowy, śnieg podnoszony wiatrem bujał falami po mroźném powietrzu; ulice prawie puste były, gdzieniegdzie przesuwały się tak otulone postacie że nie poznałbyś mężczyzny to czy kobiéty; czasami przeleciały dźwięczące sanki i znowu wszystko ucichło, a wiatr wył i wył i miotał śniegiem. Koło siódméj godziny większy ruch okazywać się począł na ulicach wiodących do kościoła i na placu przed tymże; kilku przechodniów zapytało u drzwi stojącego zakrystyana, dla czego kościół otwarty; kilku ciekawych a może pobożnych weszło, zaczęli téż przybywać tacy którzy wiedzieli po co idą, przyjechały jedne i drugie sanki, ci co z nich wysiedli weszli do kościoła, woźnice zaczęli tymczasem między sobą rozmowę od przekleństw na zimno i swoich panów. Nawpół ciemno było jeszcze w świątyni pańskiéj; na środku u sklepienia paliła się lampa; u wielkiego ołtarza jedna zaświecona była świeczka, i migocąc się od przeciągu ogromne poruszała cienie; cichość panowała przerywana szeptaniem kilku osób, które najbliższe wielkiego ołtarza zasiadły ławki i przybywaniem coraz nowych gości.

— Nie zimno pani? — pytała swojéj sąsiadki jedna gruba dama, od któréj blisko siedzący byłby czuł mocny zapach kawy; — co ja to się zagrzałam i posiliłam cokolwiek, rachując na to że będziemy czekać aż się panna młoda wystroi i wypłacze.

— O ja niemiałam téj przezorności, — odrzekła druga,— i szczérze mi żal tego, bo czuję że mię zimno ogarniać zaczyna. A widziała pani już kiedy tych państwa młodych; ona podobno przystojna, a i majętna?

— Ej gdzie tam, ani jedno, ani drugie. Siedmnaście lat temu dopiéro, to się tam młodość świeci, ale za parę lat obaczy pani co się z niéj zrobi. Mają-

tek niepewny; póki babka żyje to daje na wszystko, jak raz zawrze powieki, to wiem dobrze że wujaszek nie wiele komu zostawi.

— Tak to bywa sierotom; biedne paniska. Ale patrz pani oświecają, zapewne przyjechali albo jadą.

I rzeczywiście z największą szybkością kilku sług kościelnych oświeciło napełniony już prawie kościół; wielki ołtarz jarzył się od świec, — w téj chwili ucichły wszystkie szepty, szmer się tylko wielki zrobił u drzwi wchodowych. Kilkanaście osób weszło gromadnie, z pomiędzy których odznaczała się biała suknia i lekki welon od głowy do stóp prawie okrywający pannę młodę. Szła naprzód chwiejącym krokiem, dwóch mężczyzn podawało jéj ręce, na ich twarzach obojętny igrał półuśmiech prawie jednaki u obydwóch. A ona? O patrzcie, patrzcie ile uczuć wylało się na tę piękną twarz bladawą wzruszeniem, — patrzcie jak tam znać brak rodzicielskiego błogosławieństwa na téj sierocéj głowie; ile tam modlitwy w łzawych oczach, ile obawy i ile nadziei; z jaką wiarą w przyszłość postępuje ku niéj, a jednak dwie łzy przelotne pobiegły po wdzięcznéj twarzyczce i spadły na suknią niepokalaną jak jéj młode serce!

Za panną młodą znowu pośród dwóch uśmiechających się twarzyczek postać pana młodego wyniosła i piękna, czoło nieco pochylone miał zrazu, a gdy go podniósł, to widzieć można było dokładnie że jakaś myśl czarna tkwiła pod tém czołem, że ten wesoły obrząd, ten dzień szczęśliwy zatruwały mu jakieś wspomnienia, przeczucia, czy głos sumienia, bo choć uśmiech igrał na ustach, czoło miał zasępione i wejźrzenie bolesne; a jednak gdy przyszedłszy przed ołtarz stanął obok niéj, i spotkał wzrok jéj — to jakby słońce zaświeciło mu śród cieni, i znowu powoli chmura zaszła i opuścił czoło!

Odbył się obrząd ślubny; jedna chwila związała dwoje ludzi przysięgą aż do śmierci! Wszyscy przytomni z zwykłą obojętnością przyglądali się młodéj parze, nie szczędząc uwag pochlebnych i złośliwych!

Bo téż i chwalić i zazdrościć było czego. Marya śliczną była tą urodą, co to bez przesady porównanie do cudnego kwiatu nasuwa; niezbyt wysoka niezbyt drobna, miała w wszystkich ruchach tę harmonią i spokojność, któréj żadna sztuka nie zastąpi. Włosy ciemne, czoło jak marmur, wejźrzenie wesołe, dowcipne a słodkie, świéżość różową nie cechującą jednak nadmiaru zdrowia, cały układ pełen wdzięku i prostoty. W téj chwili jeszcze uroczystość obrzędu, blask stroju, nadzieja szczęścia która się jéj zdawała pewnością, tyle rozlały uroku na jéj postać, że chmura troski zupełnie gdzieś znikła na chwilę z czoła Wiktora!

I on piękną połową był tego obrazu! Włos jasny ocieniał śmiałe zarysy czoła i brwi nad niebieskiemi oczyma, które nigdy pozbyć się nie mogły jakiegoś wyrazu melancholii przebijającego przez wyraz szczęścia nawet. Postawa jego nadto wyniosła, może dla tego nieco pochylona, była przedmiotem szyderczych uwag obojętnych widzów!

Wszystkie oczy na nich były zwrócone, wszystkie uwagi ich się tyczyły, w wielkim tłumie ciekawych.

Z pomiędzy kilkunastu osób składających orszak weselny, na dwóch tylko twarzach widać było grę silnych uczuć; siostry panny młodéj Zofii, i wuja ich pana Szczepana. Zofia kilką laty starsza była od Maryi, niepodobna do niéj powierzchownością nie była piękną, ale i brzydką zwać się nie mogła. Wzrost wyniosły, twarz myśląca, włosy krucze i brwi takież schodzące się nad trochę orlim nosem, usta małe bardzo rumiane miały jakoś wyraz zamyślonéj dobroci, który osładzał zresztą trochę za surową twarz jéj. Zofia piérwsze wychowanie odebrała od matki którą straciła mając lat dziesięć; ojca ledwie znała; obiedwie więc, z dwuletnią Maryą przeszły w dom i opiekę babki. Wreszcie sieroctwo szczególnie szybko dojźrzewa umysł. Zofia od dnia śmierci matki przestała być dzieckiem; wszystkie władze jéj duszy skoncentrowały się na siostrę; co tylko sama umiała, starała się jéj udzielić, a czyniła to z taką troskliwością, powagą i słodyczą, że Marya prócz niéj nigdy innego nie chciała mieć nauczyciela, i wszystkich wiadomości za pośrednictwem siostry nabyła, która dla niéj nad sobą pracowała. Do takiego postępowania pobudzała Zofią w dzieciństwie pamięć ostatnich słów matki, do niéj wyrzeczonych pokazując jéj Maryą śpiącą w łóżeczku: „Zosiu bądź jéj aniołem stróżem!" Serce matki wymawiającéj te słowa, czuło że jeśli one się przyjmą w młodéj duszy jéj dziecka, to dla obudwóch będą tarczą od złego, i nie zawiodła się! bo rzadko serce matki się myli. Patrząc więc na rozstrzygającą się przyszłość swéj wychowanki, nie dziw że po twarzy Zofii którą wszyscy zimną i bez wyrazu zwali, łzy spadały obfite; serce jéj wyrywało się z piersi; zdawało jéj się że jakaś straszna odpowiedzialność cięży na niéj za szczęście przyszłe Maryi; chciałaby była cofnąć już wyrzeczoną przysięgę aby jeszcze rozważać i namyślać się, aby jeszcze zapytać Wiktora czy Marya będzie szczęśliwą, a ludzi czy Wiktor jéj godzien?

Lecz już za późno było, zapadły wyroki boże. Szybkim krokiem wracano przez kościół ku powozom. Maryi dwóch innych mężczyzn podało ręce, po prawéj był pan Szczepan. Nizki, gruby, czerwony blondyn, oczu blado-niebieskich stérczących na wierzchu głowy, pan Szczepan kawaler piędziesięcioletni jedną tylko nosił cechę na okrągłéj twarzy: głębokie zamiłowanie w samym sobie. Jakoż po staranném ubraniu jego, wielkiéj brylantowéj szpilce, pierścionkach i świecidełkach przy zégarku, łatwo można było poznać że pan Szczepan używa majątku na dogodzenie sobie we wszystkiém w czém upodobanie znajduje, i co mu życie uprzyjemnić może. Złośliwi utrzymywali, że się nie ożenił, z obawy aby nie musiał dzielić z żoną wyśmienitych obiadów swoich, a nawet miał pretensyą lepiéj jadać niż wszyscy w okolicy a nawet w kraju, i aby kto temu nie zaprzeczył, nikogo nigdy nie prosił do siebie. Pan Szczepan prócz skąpstwa i egoizmu był jeszcze

próżny; głównym przedmiotem jego rozmowy było to co jadł dzisiaj i co będzie jadł jutro; na każdego który mniéj niż on miał majątku jeden miał wyraz: „głupiec“. W dniu w którym zaczyna się nasza powieść, pan Szczepan bezustannie miał na myśli to słowo; twarz jego pąsowa w karmazyn przechodziła ile razy spojźrzał na Wiktora, który jako dzierzawca niewielkiéj majętności, w jego mniemaniu był prochem, był niczém. Zezwolił on jedynie na ten związek, któremu mógł przeszkodzić jako opiekun, pragnąc dla interesów majątkowych, aby siostrzenice jaknajprędzéj za mąż powychodziły. — Więc i pan Szczepan był wzruszony, nie jak Zofia obawą, ale gniewem.

W godzinę poźniéj, całe grono weselne znajdowało się w ciepłym i wygodnym saloniku małego domku za miastem przy suto zastawionéj kolacyi. Staruszka w białym czépku krzątała się i wydawała rozkazy służbie; Zofia była prawie nieprzytomna z nadmiaru tłumionego wzruszenia; pan Szczepan najlepsze zjadał kawałki, ganiąc wszystko i dolewając sobie ciągle wina; reszta gości gwarną prowadziła rozmowę; — tylko wejźrzenia państwa młodych przeszywały zimne zgromadzenie aby się spotkać i porozumiéć. Ledwie wieczerza zbliżała się ku końcu, dały się słyszéć dzwonki i kryte sanki zajechały przed ganek i ostatnie spełniono zdrowie państwa młodych; wszyscy powstali; Zofia otulała siostrę piękném futrem, a ręce drżały jéj i słowa z piersi wydobyć nie mogła.

— Bądź zdrowa!

— Bądź zdrowa, rzuciły się wzajemnie w swoje objęcia.

I szczęśliwa bądź Maryniu! — głos zamarł znowu w piersiach.

A Marynia — była już szczęśliwa przy boku Wiktora w wygodnym powozie; niebo było się wyjaśniło, wiatr ustał, a sanki jak strzała leciały po śnieżystéj przestrzeni brylantami świecącéj przy odblasku księżyca w pełni.

II.

Marya do Zofii.

Sosnów 18 Marca 18°°

Dwa miesiące upłynęło zaledwie od czasu jak rozstaliśmy się siostro jedyna — a mnie się wydaje że cały wiek szczęścia oddziela mię od chwili w któréj was opuściłam! I czyż to nie czarna niewdzięczność z méj strony, być tak szczęśliwą bez ciebie? prawdziwie, Zosiu kochana, nigdy nie myślałam aby to być mogło. A jednak tak jest rzeczywiście; dla czegóż ukrywać bym ci to miała, tobie która byłaś mi drugą matką, która dzieliłaś każdą moją dziecinną zabawkę aby mi ją jeszcze milszą uczynić; byłaś mi wszystkim Zosiu, przez lat tyle, to i dziś podziękujesz ze mną Bogu że mi dał szczęście które po części także tobie winną jestem, bo bez twego zezwolenia nigdy nie byłabym poszła za Wiktora. — Wiesz, Zosiu, że teraz gdy się zastanawiam nad twoją odrazą do tego związku w początkach, pojąć nie mogę jak znając Wiktora mogłaś aby na chwilę wątpić o tém, że jego żona będzie najszczęśliwszą z kobiét!

Ale ty, mój aniele, zupełnie masz inne wyobrażenie o szczęściu jak ja, bo ty też we wszystkiém wyższą ode mnie jesteś, z czego ja niewymownie szczęśliwą się czuję; to tak dobrze, tak wygodnie mieć taką jak ty opiekunkę i tak w nią ślepo módz wierzyć! Tobie do szczęścia oprócz równie pięknéj i szlachetnéj duszy jak twoja, potrzeba jeszcze wielkich dostatków, i w tém (przebacz mi to porównanie) odezwała się w tobie natura wuja Szczepana, ale w odwrotny sposób — bo ty jesteś tą opatrznością która pragnie aby wszystko co ją otacza było swobodne i szczęśliwe; ty potrzebujesz ciągle dobrze czynić, ciągle uszczęśliwiać drugich. Nie zdaje mi się aby to było łatwem do wykonania, ale mam mocne przekonanie że nikt od ciebie takiemu powołaniu lepiejby nie odpowiedział. Zresztą twoje przyzwyczajenia, twoje gusta jużby się zcieśnić nie mogły do rozmiarów położenia takiego jak moje. Ja wiem jak ty umiesz poświęcać się dla drugich, ale znam także nieugiętość twéj wyobraźni pojmującéj świętość obowiązku, ale nie znoszącéj jarzma przymusu. Dla mnie przeciwnie drobne zatrudnienia wiejskiego gospodarstwa pełne są przyjemności coraz nowych; czuję się stworzoną do nich; czyli raczéj do każdego położenia w jakiémby mię Bóg obok Wiktora umieścił; jeden uśmiech jego ust jest mi w stanie uczynić przyjemnemi największe trudy; mnie się zdaje że prawdziwém powołaniem kobiéty jest starać się o szczęście wszystkiego co ją otacza, tyś mi Zosiu tylokrotne dawała tego przykłady, a Wiktor z swojém wyrzeczeniem się siebie tak potrzebuje aby ktoś nad jego szczęściem i spokojnością czuwał. Moje przywiązanie do niego z każdym dniem się też wzmaga wraz z wiarą w szczęście i przyszłość. Bo tu tak pięknie, tak miło w tym kochanym Sosnowie. Gdybyś ty z nami tu była Zosiu i babunia, jakże szczęśliwa byłabym goszcząc was u siebie; przemyśliwałabym nad tém co wy lubicie; ale nie — wy nie lubicie nic z tego co mię taką szczęśliwą czyni. Sosnów maleńki ma dworek o cztérech pokojach tylko; — w osobnym budynku są pomieszczenia gospodarskie; ogród jeden jest wielki i piękny i starannie utrzymywany jak mówi Wiktor, gdyż teraz wszystko jest jeszcze pod śniegiem. Ty Zosiu; krótkobyś tylko obejść się tu mogła bez twoich przyborów muzycznych — nie mogłabyś mieć spokojnego pokoju do pracy, nie miałabyś twego towarzystwa literackiego w wieczór i zatęskniłabyś za niém. O wiem ja, że gdyby szczęście lub spokojność czyja wymagały poświęcenia tego wszystkiego, nie wahałabyś się na chwilę, ale na cóż bez potrzeby zakłócać ci życie tak pięknie i spokojnie płynące; ja was raczéj odwidzę z Wiktorem jak upatrzę chwilę sposobną do téj przejażdżki; bo muszę ci wyznać, że Wiktor miewa niekiedy napady zamyślenia, których ja nie chcę smutkiem nazywać, ale wtedy trudno z niego słowo wydobyć, trudno go do czegokolwiek nakłonić. — Nie mam mu tego za złe, bo dla czegoby miał ukrywać swoje usposobienie przede mną, którabym mu niebo na ziemi utworzyć chciała; — może on ma jakie bolesne wspo-

mnienia, wiem że poniósł wiele dotkliwych ciosów w życiu; może przywiązanie moje potrafi z czasem zagoić te rany — w to ufam i o to błagam Najwyższego. Zresztą Wiktor jest zawsze ten sam dla mnie jak dawniéj — zawsze tyle okazuje mi przywiązania; wszystkie godziny wolne od pracy przepędza przy mnie; czytamy wiele razem — najwięcéj naszych wspólnie ulubionych autorów; ileż to myśli pięknych i wzniosłych które pomijałam czytając dawniéj sama, on mi dziś odkrywa i wyjaśnia; to znowu w długich pogadankach spływają wieczory, — Wiktor ma wiele pomysłów do ulepszenia bytu włościan, do podniesienia gospodarstwa — do rozszerzenia moralności u ludu naszego; — ja przy nim tyle korzystam jak niegdyś przy tobie. Zosiu oczekuję listu od ciebie, poświęć jeszcze niekiedy chwilkę twéj Maryi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PLACEK W HERBIE.

(Z heroldyi duńskiéj.)

Na wschodniém wybrzeżu półwyspu cymbryjskiego wznosił się śród borów rozległych starożytny zamek szlacheckiéj rodziny „von Plessen“. Przednią facyatą przeglądał się w jeziorze, a odwrotną przypierał do gaju roskosznego. Właściciele rzadko kiedy odwiedzali zamek, gdyż zwykle bawili przy dworze królewskim, lub należeli do wyprawy wojennéj. Z tém wszystkiém przydarzyło się jednego roku, że stary zamek zabrzmiał trzema razy wesołością. Było-to pierwszy raz po szczęśliwym powrocie z wyprawy morskiéj dziedzica młodego, Knuda von Plessen, który postanowił zamieszkać dłużéj już w zamku ojczystym, i bytnością swoją przykładać się do szczęścia licznych swych kmieci. Dziewczęta wiejskie pobiegły do lasu, uwiły ogromny wieniec z liści dębowych i bukowych, a młodzież męzka uwieńczyła nim bramę zamkową. I była-to pierwsza korona na wałach zamku Plessenów.

Dziedzic bawił już od roku w swym zamku, a wszyscy poddani wdzięczni licznych jego dobrodziejstw nie zwali go inaczéj, tylko łaskawym swym ojcem. „Jestem i chcę być zawsze ojcem waszym“ — rzekł razu pewnego dziedzic do swojéj gromady — „i oto odjeżdżam teraz na dwór królewski, by dzieciom moim dać jeszcze i matkę kochaną.“ Na to oświadczenie nieposiadała się gmina z radości, i wszyscy żegnali dziedzica swego błogosławieństwem wesela. Za kilka miesięcy zjechała téż pani, i witana z uniesieniem radości od wszystkich. Miła to była pani, i na piérwsze zaraz spojźrzenie umiała zjednać serca poddanych. Dziewczęta wiejskie uwiły nowy wieniec ogromny, a młodzież męzka złożyła go na wieńcu dawniéj już zawieszonym. Druga-to więc była korona na wałach zamku Plessenów.

Minął rok dalszy, na zamku była radość wielka nie mniejsza może i w chatach kmiecych. Czcigodny pleban wyszedł z podwoi zamkowych na dziedziniec, i obwieścił gminie zebranéj słowa pociechy: „Cieszcie się dobrzy ludzie, Bóg nam zesłał radość: pani syna powiła. Spieszmy do kościoła złożyć dzięki Wszechmogącemu i błagać o szczęście dla nowo narodzonéj dzieciny.“ Wszyscy się téż udali za księdzem plebanem, a po nabożeństwie pobiegli chłopcy i dziewczęta do lasu, i znowu wieniec uwili. I była-to już trzecia korona na wałach zamku Plessenów.

Chłopczyna chował się zdrowo na pociechę rodziców i wszystkich kmieci, z których dziećmi dzielił potém zabawki i igraszki dziecinne. Włościanie pokochali chłopczyka niezmiernie, i spodziewali się po nim tak dobrego pana na dzieci swoje, jakim był ojciec jego na nich samych. I tak lata płynęły. Mały Knud Plessen kończył rok czwarty, a z wiosną liczył już piąty. Skromne fiołki roznosiły woń lubą, kwiaty zaczęły wdzięcznie rozkwitać, skowronek wybiegając strzałą ku niebu kwilił pieśń wesołą, i słońce jasno przyświecało. Na zamku był stary, siwo-brody sługa, i do tego-to staruszka przywiązał się młody Knud Plessen tak mocno, że i zasnąć nie mógł już bez niego. Sługa ten nosił chłopca na ręku na dziedzińcu i po ogrodzie zamkowym — nosił tak długo, pokąd mu tylko sił stawało. A gdy słońce zaczęło lepiéj przygrzéwać, zachciało się chłopczynie do lasu. Nosił go i prowadził staruszek na przemian, chłopiec napierał się coraz daléj, lecz wkońcu sił już staremu słudze nie stało. „Daléj już nie zajdę“ — upominał chłopczyka — „muszę trochę wypocząć, a potém wrócimy do domu.“ Spoczął więc sobie starowina na trawie, plecami oparł się o drzewo, a chłopczyk igrał swobodnie, rwał kwiaty i obrzucał go niemi. Tymczasem zaczęło słońce mocniéj dogrzewać, chłodny wietrzyk rzeźwił z początku staruszka, lecz wkrótce sprowadził twardy sen na jego powieki. Dzień chylił się już ku wieczorowi, gdy się nareszcie obudził. Wyciągnął się wygodnie i mocniéj odetchnąwszy rzekł prawie na pół senny jeszcze: „Paniczku kochany, czas już nam do domu!“ Lecz przetarłszy lepiéj oczy poznał po daleko sięgającym cieniu drzew, że się już spóźniło. Zerwał się więc na równe nogi, i z największą trwogą szukał za chłopcem.

Wkrótce okrył się zamek żałobą, a smutna wiadomość że młody Plessen przepadł, przejęła wszystkich trwogą niewymowną. Jeden z kmieci przybiegł z doniesieniem, że widział bandę Cyganów tułającą się po lesie w kierunku północnym, i że zapewne musieli porwać dziécię. Inny kmieć spotkał także tych włóczęgów, lecz utrzymywał, że ciągnęli ku południowi. Wysłano gońców konnych i ludzi pieszych na zwiady, lecz nie odszukano już dziecka porwanego. Na zamku Plessenów panowała odtąd cisza ponura, a na bramie więdły i usychały trzy wieńce. Wiosna szła za wiosną, lecz młodzież wiejska nie przynosiła już wieńców świéżych.

* * *

Pod Brunświkiem odbywał się dnia pewnego kiermasz coroczny. Zbiegło się ludu niemiara i przypatrowano się ciekawie skoczkom cygańskim na linie. Wkrótce powstał między widzami szmer głośnéj niechęci i odrazy. Oburzało że przewódzca bandy wyprowadził z namiotu ładnego chłopczyka, i zmuszał go do chodzenia po linie. Dziécię drżało z bojaźni i pobladło jak chusta. Wyciągając rączki do swego dręczyciela jakby błagając o litość, lecz zamiast politowania zagroził jeszcze cygan i potrącał niemiłosiernie. Gniew rozjątrzył wszystkich przytomnych, a niektórzy przyskoczyli groźnie do cygana i wydarli mu z rąk dziécię. Cygan zżymał się, wykrzykiwał i odgrażał, i byłoby może przyszło do czego gorszego, gdyby nie przywołano wczas jeszcze rajtarów miejskich. Przywrócono nareszcie porządek, cyganie zabierali się z dzieckiem, ale ktoś z obecnych przestrzegł na domysł, „że dziécię to może kradzione.“ Więc badać cygana, więc dziécię bliżéj opatrywać, i okazało się, że chłopczyna wcale nie wyglądał jak cygan. Zatém, by rzecz wyjaśnić, wzięli rajtary dziécię pod swoją opiekę. Na tém zeszedł dzień cały, a gdy nazajutrz szukano za cyganami, już ich i śladu nie było. Wynieśli się cichaczem z obawy kar srogich za porwanie dziecka. Z początku nic wiedziano, co począć z dzieckiem opuszczoném, gdy w tém nawinął się znany, sędziwy mieszczanin i tak rzekł do ludzi: „Moi kochani, znacie mię dobrze. Dzieci własnych nie mam,

więc chłopca tego ja wezmę na wychowanie. Wyuczę go rzemiosła mojego, a za boską pomocą wyjdzie jeszcze na ludzi.“ Ucieszyło to wszystkich, zwłaszcza że stary Konrad był i dobry chrześcianin i majętny a zręczny piekarz, i tak tedy powierzono mu chłopczyka biednego.

Odtąd wiele lat minęło, chłopiec urósł w rozum, statek i męstwo, wyuczył się doskonale sztuki piekarskiéj, i u wszystkich miał łaskę i dobrą sławę, a szczególnie polubił go Konrad jak syna własnego. Znał się przedziwnie nietylko na każdém pieczywie, lecz oprócz tego umiał wyrabiać placki co nie pleśniały przez cały rok i dłużéj. Placki te sam roznosił po wsiach i do dworów szlacheckich, a dla dobroci pieczywa i układności piekarczyka kupowano je chętnie. Jakoż powracał zawsze z pełnym trzosem do domu, i był przytém dobrej i wesołéj myśli. Niekiedy jednak napadała go tęsknota i smutek nieodgadniony. Było-to słabe i jakby senne przypomnienie chwil z lat dziecinnych. Przywidywało mu się jakby we śnie jakieś szare zamczysko, przypominał sobie damę pełną słodyczy i łagodności, jak go czule tuliła, i starca siwo-brodego, co go niegdyś na ręku piastował. Lecz obraz ten prędko się zacierał i rozstępywał jak mgła ranna przed promienném słońcem, i tylko sine wody jakiegoś jeziora tkwiły mu nieco żywiéj w pamięci.

Pewnego razu, gdy wrócił z dłuższéj podróży z trzosem pełnym dla swego dobroczyńcy, zastał wielkie i bolesne sercu swemu zmiany. Starego Konrada złożono już w grobie, a domem jego zarządzał jakiś daleki krewny nieboszczyka. Poznał wkrótce, że już nie było jemu przytułku w tym domu. Zabrał się tedy ze wszystkiém, i z ciężkiém sercem poszedł w świat daleki. Sam jeszcze dobrze nie wiedział, dokąd ma się obrócić. Zdawało mu się, że go w świat prowadzi jakaś ręka niewidoma. Jednego dnia zabłąkał się porą wieczorną w gęstym lesie, a będąc znużony podróżą usnął w trawie. We śnie przypomniały mu się wspomnienia wieku dziecinnego, lecz już wyraźniéj niż zwykle. Z poza drzew jawiło mu się jezioro, i słyszał szum fal jego wzburzonych. Nad rankiem dopiéro ocknął się ze snu twardego, i wraz zniknęły wszystkie te widziadła, lecz głuchy szum jeziora ciągle go dochodził, a przynajmniéj tak mu się zdawało. Gdy uszedł kawał drogi, ujźrzał przed sobą morze oblane cudnym blaskiem słońca wschodzącego. Rozmarzony szedł daléj, serce biło mu żywo i coraz silniéj, i czuł, że go czar jakiś owładnął. W niepokoju pragnął rozczarowania, lecz obraz zprzed oczu nie znikał, a nadto dojźrzał wyraźnie i zamek migający się w cieniu drzew gęstych i wyniosłych. Padł na kolana, ulżył sercu swemu modlitwą i łzami, a potém szedł już prosto na zamek. Służba zamkowa obstąpiła go dokoła, gdyż pojawienie się obcego przychodnia w téj dalekiéj ustroni było rzadkie zjawisko. Młody piekarczyk jąkał się w odpowiedziach, serce jego doznało niepojętego jakiegoś wzruszenia, i sam nie wiedział, co się z nim działo. Ale były dwie dusze na dziedzińcu zamkowym, które go zapamiętały dziecięciem. Był stary Bryś na łańcuchu głośno naszczekujący, tak że trudno było własnego słowa dosłyszyć. Pewnie w obcym przychodniu poznał młodego Plessena, dlatego rwał się z łańcucha, bo chciał się połasić. Był i sędziwy starzec o siwéj brodzie, siedział na ławie i wygrzewał się do słońca. Możeby i stary go poznał, gdyby już dawno ocz nie wypłakał. Zbiegli się wszyscy domownicy na podwórze zamkowe, zdziwieni zkąd taka niezwykła wrzawa; przybył téż i sam dziedzic zamku, i zaczął z piekarczykiem rozmawiać. Wkońcu zeszła sama dziedziczka, która właśnie w téj chwili powracała z kaplicy zamkowéj. I zaledwie ujźrzała młodego przychodnia, skrzyknęła z podziwu i radości. Wszystkich mógł się jąć obłęd, ale serce matki przeczuło prawdę i poznało syna utraconego. I znowu zabrzmiał zamek Plessenów niewymowną radością. Do trzech zawiędłych na bramie zamkowéj koron z liści dębowych i bukowych, przybył czwarty i ostatni wieniec na cześć powitania młodego Plessena. A na pamiątkę i ku zbudowaniu wnuków i prawnuków, przyjął dziedzic zamku w swój klejnot hrabiowski placek, i potąd jeszcze szczyci się familia Plessenów w swym herbie „plackiem“.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*